TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

DZIŚ W NUMERZE:
Marta Wankowicz_Erdman
Wacław Iwaniuk
Scrutator
Wojciech Świętosławski
Tymon Terlecki
Tadeusz Zajączkowski

Vol. 2. Nr. 41 (93) Nowy Jork, 15 października — New York, 21, N. Y., October 15th, 1944 Cena 15 ct.



ARTUR GROTTGER WARSZAWA

STRASZNA NAUKA

Upadek Warszawy, jej zniszczenie, wzięcie do niewoli Armji Podziemnej, śmierć tylu Polaków w przeddzień owego dnia wymarzonego, dla którego przez pięć lat cała Polska walczyła tak nieugięcie — jest to tragedja nie dająca się wyrazić w żadnem najbardziej patetycznem przemówieniu ani skwitować najbardziej płomiennym poematem.

Zarówno jak nasz Drugi Korpus pod Monte Cassino tak Warszawa w pierwszych tygodniach walki, kiedy miała nadzieję zwycięstwa — odżegnywała się stanowczo i nawet opryskliwie od wszelkich objawów współczucia; od wszelkiego biadania nad jej losem, widząc w nich — jasno podświadomą próbę wypłacenia się tanio i bezmyślnie z obowiązków jakie walka polskich żołnierzy, czy to jawnych, czy podziemnych nakłada na tych, których zadaniem jest walczyć o Polskę inną bronią. Wobec tego co się stało z Warszawą wszystkie mowy żałobne, wszystkie wezwania do wytrwania czy nadziei, wszelkie hołdy pośmiertne, choćby najbardziej szczere i odczute, a protokularnie niezbędne— są jednak krwawą ironją, której rozmiary należy najbardziej ograniczyć w imię poprostu przystojności i prawdziwej czci, dla tych, co polegli. Żałoba, ależ tak! postokroć, potysiąckroć żałoba, jeżeli jej objawy w czemkolwiek przyczynić się mogą do zmiany stosunku do Polski tych, którzy nie przyszli Warszawie z pomocą, jeżeli mogą one poruszyć sumienie świata dla świętej sprawy w imię której zginęła Warszawa. Jeżeli jednak ma to być tylko jeszcze jedna szopka narodowa po której odprawieniu— będziemy znów czekać z założonemi rękami aż nas spotka coś równie potwornego, jak tragedja Warszawy, jeżeli chcemy tą krepą przysłonić prawdę o tem, dlaczego Warszawa padła, tym płaczem zagłuszyć głos sumienia — to nie nośmy tej żałoby, bo doprawdy urągalibyśmy nią temu, co się stało. Warszawa bowiem i, musi to być mówione teraz właśnie głośno i wszędzie, nie powinna była upaść, generał Komorowski i jego żołnierze nie powinni byli iść do niewoli, obrzuceni błotem przez aljantów Anglji i Stanów Zjednoczonych — Warszawa powinna była być zaopatrzona w broń i amunicję, poparta wojskową akcją sowiecką, powinna była być obroniona, powinna była zwyciężyć, a jej wódz powinien był być teraz witany przez tłumy w Nowym Jorku i Londynie jako symbol najczystszej walki o wolność, jako największy bohater tej wojny.

To właśnie a nic innego powinno było się stać dlatego, że tak nakazywało sumienie, pisane zobowiązania, honor własny ludzi, od których coś zależało, honor narodów, sprzymierzonych z Polska, a przedewzystkiem że tak nakazywał zdrowy rozsądek, do którego cały świat, watpiacy o honorze i ideałach — modli się teraz, jako do jedynego prawdziwego bóstwa, ale o którym niema pojęcia, gdzie się znajduje i czego wymaga.

Warszawa powinna była być obroniona i wystarczy przypomnieć radosne przemówienie pana Mikołajczyka po udzieleniu jej pierwszej pomocy— aby zdać sobie sprawę, że zdaniem ludzi aż nadto ostrożnych w ocenie tego, co jest możliwe — Warszawa nietylko nie powinna była ale mogła nie upaść. I otóż Warszawa upadła choć mogła nie upaść. Tę prawdę musimy zrozumieć w całej jej potworności, powiedzieć ją sobie i mówić innym, musimy z tej strasznej prawdy zrobić tragiczną gwiazdę przewodnią, która nas będzie oświecać i pomagać w tem co mamy teraz zrobić. Musimy zrozumieć, że tych potwornych 9 tygodni męczeństwa Warszawy — były to owa mickiewiczowska "godzina przestrogi", przestrogi dla całego świata, ale dla nas przedewszystkiem.

Jeżeli to, co się stało z Warszawą było możliwe to możliwe jest już wszystko, co nowi "monachijczycy" uważają za niemożliwe, za wymysł polskiego nacjonalizmu i polskiej przesady.

Jeżeli na oczach zwycięskich Demokracji, uzbrojonych tak potężnie, dysponujących tyloma środkami rzeczywistego protestu — Sowiety odważyły się jawnie pomóc Niemcom w zburzeniu Warszawy, jeżeli na poparcie Churchilla dla ich zaborczych roszczeń — odpowiedziały plugawą kalumnją rzuconą na polskich bohaterów i męczenników — to nie może być żadnych złudzeń że wyciągną one z ustępstw Anglji i Ameryki te same wnioski, które wyniósł Hitler z wizyty Chamberlaina i Daladiera w Monachjum.

Głosić to, przekonywać o tem, nie bacząc na żadne względy wołać o tem, budząc uśpione sumienie i rozsądek świata — jest to ważniejszy niż żałoba obowiązek nas wszystkich Polaków wobec świętych ruin naszej stolicy, wobec świętych cieni jej obrońców.

Warszawa powiedziała słowami i czynem, że nie chce łez i żalu, nie chce wieńców i mów żałobnych. Dwieście tysięcy Polaków, którzy padli na jej gruzach — nie było to dla niej zbyt wiele, aby osiagnąć to w imię czego pięć lat walczyła bez wahań, bez wytchnienia i bez skargi.

Ale tych dwieście tysięcy zabitych, ci jeńcy, których uczuć nie śmiemy się domyślać, takim wstydem nas palą, te gruzy i te zgliszcza — bedzie to nie największa tragedja tej wojny,, ale największy skandal historji — jeżeli po tem co Warszawa uczyniła dla całości, dla wolności, dla niepodległości Polski, my cośkolwiek z naszych praw ustąpimy, a świat ich nam odmówi.

TYMON TERLECKI

O WARSZAWIE

Gdyby trzeba było i było wolno zgłaszać swój tytuł przynależenia do miasta które dziś wypełnia cały obszar naszej świadomości całą przestrzeń serca — musiałbym wyznać, że jestem Warszawianinem adoptowanym. Adoptowanym późno i opornie. Póki nie opuściłem Warszawy, póki nie odeszła w strefę snu i tęsknoty — czułem się w niej trochę jak emigrant z innego świata. Zajmowałem wobec niej postawę krytyczną i opozycyjną. Taki proces miała Warszawa z całą Polską doby niepodległej. Ten spór, spór o styl życia, o gest duchowy dopiero dziś dobiega końca. Wygrywa go — Warszawa. Płaci za to zwycięstwo klęską, jakiej nie znają jej dzieje.

Patrząc w twarz tego miasta — po raz drugi, po raz trzeci czasu tej wojny napiętą najwyższym patosem, wsłuchując się w skrzydlatą wzniosłość szumiącą nad jego głową, dotykając ścierpłym ze zgrozy czuciem jego ran, jego ruin, jego zgorzelisk, krwawego trudu i okrutnej nędzy, nagle widzi się, że to już było, ten patos, wzniosłość, zdolność cierpienia, że to już było w tamtym stylu, który wielu z nas drażnił, wielu odpychał. Widzi się więcej jeszcze. Padające mury i opadające pozory otwierają przezior w historję. Wielkim głosem wystawia ona Warszawie świadectwo, że nie zaparła się siebie, swojej duszy, swojej przeszłości.

Zawsze, przynajmniej od dawna, miało to miasto osobliwą zdolność wiązania żywotnych przeciwieństw rozwiązywania sprzeczności charakteru i obyczaju. To jest znamię jego wielkości. Może właśnie to, godzenie przeciwieństw w harmonję, stanowi znamię wielkości wogóle.

Styl nadał Warszawie król najbardziej niedorosły do chwili dziejowej, a przecież działający w sposób jedynie słuszny wobec przyszłości. Stolica Stanisławowska żyła i nauczyła się żyć kulturą ponad stan, gdy nie można było żyć politycznie na zwykłą, normalną miarę. Prawie jednocześnie powstały w niej Łazienki — kaprys z porcelany, wymyślnie oprawiony w trzy stawy, w Ruysdaelowskie drzewa — i Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które mieściło się wprzód w Staszicowej kamieniczce na Kanonji, nim zaczęło iść przed narodem i świecić, aby nie zgubił drogi pośród nocy.

Była zdolna czcić tak kontrastowych bohaterów, jak szewc Jan Kiliński i Książę Pepi, który do Elstery, patetycznej śmierci i grobu na Wawelu zdążał nie tylko etapami trudów żołnierskich, prób sumienia, ale i uroczych skandalów. Ku zgrozie przytomnych tańczyła na grobie matki-ojczyzny, ale biła się i w "świętą rezurekcję" Kościuszkowską, i później, ile razy nadarzyła się sposobność.

Nosi na sobie wstyd za "krytyków i recenzentów warszawskich", że nic nie pojęli z największego objawienia poezji w mowie polskiej i żywi chlubę, że w tym samym czasie hodowała naj bardziej nieziemskiego i najbardziej uniwersalnego z romantyków, Fryderyka Chopina.

W Noc Listopadową dała życie rebelji uczniowsko - proletariackiej, jednej z najbardziej mimowolnych rewolucji, jakie zna historja i zdobyła się na czysty poryw mistyczny, na "rewolucję moralną" sześćdziesiątego pierwszego roku. Umiała jeszcze z jej uniesieniem religijnym w przedziwny sposób pogodzić trzeźwą, drobiazgową zabiegliwość organizacyjną styczniowego powstania.

Prawie jednocześnie wydała warszawskie pokolenia pozytywistów, "organiczników", głoszących ewangelję "pracy od podstaw" i Or-Ota swego pieśniarza, swego bardzo, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu — poetę ludowego.

Sąsiaduje w niej z parnasowskim pięknoddchostwem Miriama i jego "Chimery" epoka "ludzi podziemnych", czerwona rewolucja 1905go roku i stężałe nad Cytadelą w krwawą gwiazdę zawołanie Okrzei: — "Niech żyje Polska Niepodległa".

Tak samo kontrastowa jest Warszawa Drugiej Rzeczypospolitej. Światek Karpiński podaje w niej rękę "Cyganom Warszawskim" pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. W innym poziomie, na naszych oczach Ordon i Sowiński, tacy jak ich zechciała mieć wszechmoc poezji, z cudownych wierszy polskich, salutują naszych współczesnych: generała Bora i generała Nurta.

Ściągała nowa stolica, ssała krew z całej Polski przez dwudziestolecie i teraz po raz drugi, po raz trzeci upuszcza ją z żył bez miary i rachunku. Po barbarzyńsku, z orgjastycznym okrzykiem młodości malowała szesnastowieczne, siedemnastowieczne kamienice Starego Miasta i teraz oddała je na całopalenie, na całobicie. Trochę snobistycznie wydobywała spod ziemi stare mury, a zdawało się, że zagasła w niej zbiorowa pamięć tragiczna, zamarł instynkt historji. A oto teraz mury wróciły pod ziemię i Warszawa żyje wielkim tchnieniem dziejowym.

Uwielbiała dowcip i kabaret, prawie kazała nam wierzyć, że to jest szczyt ludzkiej twórczości i szczyt sztuki narodowej ,ale była jednocześnie kolebką teatru monumentalnego, teatru wielkiej poezji i wielkiej wizji scenicznej, o którym śnił Mickiewicz, na katedrze "College de France". Wystarczyła Warszawie walecznego humoru, aby przetrzymać najbardziej ponurą z babilońskich niewoli. I dziś sama jest sceną z teatru monumentalnego, dekoracją z "Legjonu", gdzie wśród ruin spór o naród wiodą duchy poetów.

Tak samo jak hasło: Warszawa w kwiatach, tak samo zwyczajnie, prawie od niechcenia pojęła hasło: Warszawa we krwi — we krwi i w ogniu. Zdawało się kiedyś, że żyje rytmem zwolnionym i może żyła po to, by żyć teraz na barykadach tętnem przyspieszonym, śmiertelnie natężonym.

Tak, żeby użyć słów Norwida:

"... to Warszawa,
pod rozpłomienioną gwiazdą
dziwnie jaskrawa..."

Zaborcza i bez granic ofiarna. Drapieżna i bez miary mężna. Lekkomyślna, lekkoduchowska i zdolna do najwyższej powagi. Rozproszona, jakby niezdolna do kontemplacji i naraz dorosła do samotności, do przeciągłego patrzenia w oczy śmierci. Usiłująca zapomnieć przeszłość i oto porwana przez bezlitosny wiatr historji.

Sprzeczności jej duszy rozwiązują się na naszych oczach w akordzie najwyższej pełni i do dna przejmującej prostoty, na które nie jest łatwo znaleźć słowo. Trzeba by go może szukać w antycznej tragedji, u żywoto pisarzy świętych.

Dlatego musimy kochać ciemną, zajadłą miłością nie kraj dzieciństwa, nie miasta, gdzie zostały groby naszych matek ale to miasto miast — sprzeczne, wzniosłe tragiczne jak człowiek, tragiczne, wzniosłe i niezłamane jak naród.

* * *

Rzecz czytana na "Wieczorze, poświęconym walczącej Warszawie", który odbył się dnia 20go września, 1944, w Ognisku Polskim w Londynie, staraniem Związku Dziennikarzy Polskich, pod przewodnictwem Ignacego Balińskiego, b. prezydenta miasta Warszawy, z udziałem: Stanisława Balińskiego, Antoniego Bogusławskiego, Marjana Czuchnowskiego, Mariana Hemara, Ks. Zygmunta Kaczyńskiego, Zygmunta Nowakowskiego, Marjana Emila Rojka, Stefana Stanisławskiego, Stanisława Strońskiego, Tymona Terleckiego, G. Van Dee, Józefa Winiewicza i Stefanii Zahorskiej.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI

Dzieci Lwowskie

Niech Was nie zmyli ten tytuł: nie chodzi tu ani o jakąś ochronkę w Indjach, ani o szkółkę w Ugandzie. Dzieci Lwowskie — to Pułk Broni Pancernej, który tę nazwę przyjął dla zaznaczenia synowskiej miłości swych żołnierzy do starego, polskiego Lwowa, gdzie się większość ich urodziła i spędziła beztroskie dzieciństwo.

Kiedyś, dawno już temu, w bardzo odległych stąd stronach (dużo krwi, dużo mil dzieli nas dziś od tych czasów i od tych miajsc) szły wyciem wichru poganiane przez zaspy śnieżne, przez wjugi i burany, Józki, Franki i Tońki z łagrów, tiurm i posiołków, pod zlodowaciałe namioty Wojsko Polskie odbudowywać. Wtedy to nad Samarką rzeką, na lewym azjatyckim brzegu Wołgi, powstał batal-jon "Dzieci Lwowskich."

Wychudzone obdartusy, do kościotrupów bardziej niż do żołnierzy podobne, rozgrzewały się pod pojedyńczemi płachtami namiotów, śpiewając znane od urodzenia sztajerki, poleczki, piosenkę o tem, że "gdybym się jeszcze urodzić raz miał — to tylko we Lwowie" i wiarą, że naprzekór wszystkim złym mocom do swego Lwowa powrócą.

W dalszej kolei losów Dzieci Lwowskie razem z Dywizją "Lwów", w skład której wchodziły, koczowały na spękanej od słonecznego żaru ziemi uzbeckiej u podnóża Pamiru, dożywiały się własnym przemysłem, morwą i dziką marchwią, chorowały i marły na tyfus, czerwonkę i malarję.

Potem nadszedł sierpień 42 roku i niezapomniana chwila, kiedy z pokładu "Kaganowicza" kompanje zeszły na perski brzeg.

Ziemia szacha perskiego, o której prawdę mówiąc, niewiele się dotychczas wiedziało, wydawała się istnym rajem. Za głębokiemi wodami Kaspijskiego morza pozostała ponura atmosfera rezygnacji, przymusi i beznadziejnego uganiania się za "pajką" chleba, nieobliczalna groza przypadkowości, która każdej chwili mogła ucapić za kark wszechwładną ręką N. K. W. D. i zakończyć doczesną wędrówkę ofiary krótkim okrzykiem: "sobirajś z wieszczami!"

Powietrze Persji było czyste, wolne i życzliwe. Ludność małego partowego miasteczka Pahlewi, mieszanina Ormian, Kurdów, Greków i Persów, rozpoczęła na szeroką skalę akcję handlową z przyjeżdżającymi oddziałami. W halach targowych, które spontanicznie powstały w krzakach otaczających nasz obóz, kupowało się po rewelacyjnie niskich cenach pieczone kury, gotowane "jajki", wielkie tłuste ryby, kosze soczystych owoców i chleb, biały, pulchny chleb, jaki od lat widywaliśmy tylko w marzeniach sennych.

A że przytem kuchnia z "pszonki", gliniastego razowca i wody przeszła na obfite zaopatrzenie angielskie, wojsko oddawało się prawdziwej orgji obżarstwa.

Skutki nie dały długo na siebie czekać. Tłuszcze, białka i węglowodany zamieniały się w rekordowym tempie w krew mięśnie, fantazję i humor. Z dnia na dzień żołnierz wyzwolony wreszcie z pod psychicznego ucisku zmory niepewności dalszych swych losów, wyrwany ze środowiska beznadziejnej chandry i tępej rezygnacji, nakarmiony do syta po latach głodowania — odzywał, prostował się, mężniał.

I chociaż rosły na skraju obozu szeregi namiotów szpitalnych, zapełniane tymi nieszczęśnikami, którzy jedynie wolą uporczywą tłumiąc nurtujące ich choroby, trzymani na nogach gorącem pragnieniem wyrwania się z mroków czeluści sowieckich, teraz na zbawczym brzegu bez sił padali, ogół wojska wyraźnie krzepł i fizycznie i psychicznie.

Dzieci Lwowskie, tem od innych szczęśliwsze, że Baon był bardzo młody, z dwudziestoparoletnich chłopaków dobrany, objadłszy się jajkami, ryżem i baraniną, śpiewały zadzierzyście na plaży ganatowego morza: — "gdybym się jeszcze urodzić raz miał"... i nasłuchiwały, czy echo powtórzy odpowiedź: "Tylko we Lwowie"...

Aż pewnego dnia zajechały sznury wozów pod obóz w Pahlewi i kolumny wojska ruszyły przez Persję, zjeżdzając serpentynami z wysokich gór — hen, w bezkresną, kamienistą pustynię, na rozżarzone nielitościwem słońcem piaski między Tygrysem i Eufratem.

Tam stanęliśmy na długi okres reorganizacji i wyszkolenia. Tam też opuściły nas, piechotę, Dzieci Lwowskie. Przywdziały czarne berety, zafasowały jakieś potworne stalowe gruchoty i stały się Pułkiem Broni Pancernej.

Odtąd widywaliśmy się rzadko. — Czasami tylko, pławiący się we własnym pocie piechur, leżąc nago na rozgrzanym jak blacha kuchenna kocu i decydując się na fantastyczny wysiłek sięgnięcia po niewiadomo już który kubek wody z lodem, dostrzegał na horyzoncie poruszające się tumany kurzu.

"Hamsin, cholera, idzie," — mruczał z rozpaczą, waląc się spowrotem na posłanie i oczekując z rezygnacją na chwilę, kiedy nadchodząca burza zasypie go piaskiem i buchnie falą wiatru, palącego niczem wnętrze pieca.

Ale czas mijał i zamiast oczekiwanego hamsinu nadciągały z chrzęstem i dudnieniem, otoczone tumanami nieprzenikliwego kurzu, czołgi.

'A'.... to te.... pancerniaki, ćwiczą". — śmiał się złośliwie piechur, wypijając kolejny kubek wody — "dobrze im tak: chcieliście czołgów, macie czołgi!"...

Dzieci Lwowskie jednak nie narzekały. Ani piekielne upały, ani burze piaskowe nie dały im rady. Pułk ćwiczył, szkolił się, obrastał w wiedzę i sprawność. W miarę postępu umiejętności zmieniano im sprzęt, aż wreszcie pułk doszedł do posiadania prawdziwych fortec ruchomych, ostatniego słowa techniki wojennej.

W POPRZEDNIM 40 (92) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Odpowiedź na ustępstwa; Stanisław Stroński: Zaścianek; Gen. Anders mówi: Polska walczy i wierzy; Wacław Iwaniuk: Hymn; Antoni Cwojdziński: Janek; Janusz Laskowski: Śmierć pływa na kanale; Memorjał Kongresu Polonji Amerykańskiej do pana Cordell Hull'a; Opinje i zdarzenia.

TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"



Zaułek za katedrą ormiańską we Lwowie

Spotkaliśmy się z Dziećmi Lwowskimi znowu dopiero we Włoszech. Kiedy po przełamaniu niemieckiego oporu w twierdzy Monte Cassino piechota stoczyła się z gór w dolinę rzeki Liri i poszła zdobywać Piedimonte i Santa Lucia, poszły z nią razem czołgi. I tak się złożyło, że baony Brygady Lwowskiej osłaniały ruchy czołgów Dzieci Lwowskich, a te z kolei waliły ze swych dział w bunkry, rażące ogniem tyraljery pieszych Lwowiaków.

Nawiązana tutaj rzetelna współpraca rozwijała się i pogłębiała później coraz bardziej. Na odcinku adrjatyckim, od Pescary aż do linji Gotów 2.30 kilometrów przez niezliczone pagórki i doliny, przez strumienie i rzeki szły czołgi pospołu z piechotą w pościgu za niemieckiemi dywizjami.

Każdy tu miał pełne ręce roboty. Upalne dni słonecznego włoskiego lata przesuwały się w gorączkowym pospiechu, w marszu nieustającym naprzód i naprzód, w huku dział i w klekocie gąsienic, migały, niby na taśmie filmowej zasnute dymami pogorzelisk i tumanami kurzu, ledwo dostrzegane zmęczonemi oczyma, piekącemi od nieprzespanych nocy, od trudu i wysiłku, przekraczającego, zdawałoby się, granice wytrzymałości ludzkiej.

Znużone ciężką pracą bojową szło wojsko przez winnice, kuszące fjoletem dojrzałych gron, przez łagodne stoki pagórków porosłe świeżą zielenią morw, dębów i platanów, przez doliny rzek mnogich, w gąszczu głogów i tarniny płynących, szło, zmęczonemi oczami niemal nic z tego nie widząc.

Szły bataljony i pułki przez ten kraj piękny, jakby stworzony do życia wesołego i spokojnego, który nie miał dla nich ani radości, ani spokoju, jeno trud ciężki, bój zawzięty, śmierć podstępnie zewsząd czyhającą.

Na tej drodze Wojska Polskego do wolności zostało wiele mogił, niby kamienie milowe. Wielu z Dzieci Lwowskich padło pod Loreto, pod Casa Nuova i Monte Torto, pod Chiaravalle, pod Monte Rosario i pod Monte della Forche, na przeprawie przez rzekę Metauro. Te miasteczka i wioski, dotychczas mało komu znane, zagubione wśród zielonego pejzażu, stały się kartami sławy żołnierskiej dzieci Lwowskich. Bo pułk walczył tak, jak się wszystko robi we Lwowie: na całego!

I tak jak się wszystko robi we Lwowie, walczył z fantazją, z humorem, z gestem niespotykanej nigdzie po za Lwowem mieszaniny nanszalancji i rzeczowości. I tak jak to zawsze robią Lwowiacy nawet po największym zmęczeniu tam znalazł się czas i ochota, aby powrócić bodaj myślą do kochanego miasta i rzucić w przestrzeń pod wygwieździone niebo słowa piosenki wesołej i rzewnej, tęsknej i zadzierzystej o starym, najdroższym Lwowie.

Kiedy wieczorem, na przypadkowym postoju, w cieniu dębów włoskiej "campanji" słucham jak lwowski pancerniak gra na harmonji "gdybym się jeszcze urodzić raz miał", wierzę wtedy tą uporczywą, bezrozsądną, polską wiarą, że ze wszystkich mogił od Kołomy do Schchrizjabs, z Iraku i z Persji, z gór od Monte Cassino, z nad tych wszystkich rzeczułek nad Adrjatykiem odpowie mu cichym westchnieniem głos nieukojonej tęsknoty: tylko we Lwowie....

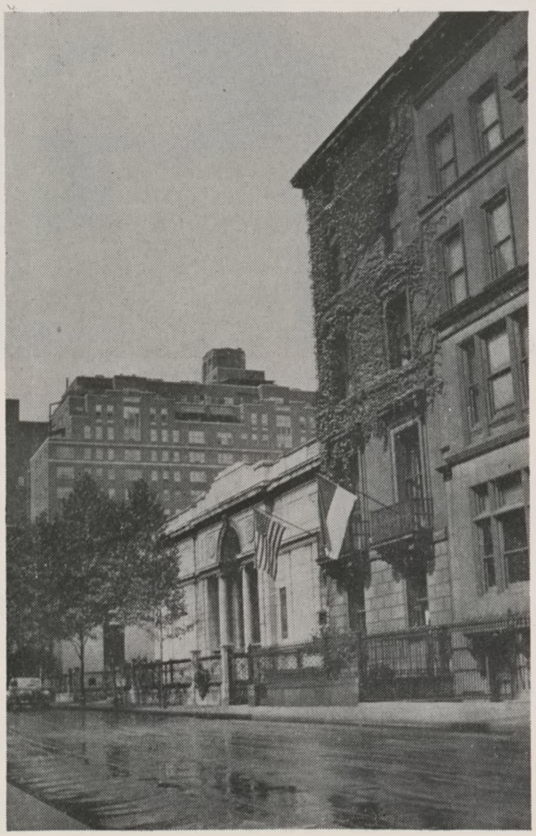
CO POLSKI INSTYTUT NAUKOWY BĘDZIE ROBIŁ W TYM ROKU?

Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku stał się już częścią niezbędną polskiego życia na uchodztwie, placówką o wpływie bardzo głębokim, choć jak takiej instutucji właśnie przystoi, ne wyrażającym się hucznie i hałaśliwie Tem większym obowiązkiem jest oczywiście raz po raz przypomnieć ogółowi o tej pracy tak ważnej, a tak nieszukającej poklasku. W poczuciu tego właśnie ciążącego na nas obowiązku zwróciliśmy się do Rektora Haleckiego, świetnego hstoryka, Dyrektora Instytutu z prośbą o zapoznanie nas z programem prac, które Instytut planuje na rozpoczynający się sezon. I oto czegośmy się dowiedzieli w czasie naszej wizyty w pełnej nastroju siedzibie Instytutu przy ulicy 36ej.

"O tem, czegośmy dokonali dotychczas — dowiedziec się łatwo z naszych biuletynów" — mówi na wstępie rektor Halecki wskazując na stertę kilkusetstronnicowych książek w tak już popularnej błękitnej oprawie. "Nazwiska uczonych, którzy z nami współpracują, wykazy zebrań i konferencji, odbytych przez nas, teksty wygłoszonych w Instytucie odczytów, wykazy prac naszych członków — wszystko to Pan tutaj znajdzie". Prof. Halecki mówi to bez akcentu, ale kto pobieżnie choćby przejrzy te biuletyny, kto uczęszczał na odczyty do Instytutu, kto wie ile zabiegów, pracy zarazem twórczej i technicznej — wymagały te wszystkie dokonania, zwłaszcza na tak trudnym i zjadającym siły nowojorskim terenie — ten daje prof. Haleckiemu pełne prawo do słusznej dumy z działalności Instytutu. "W tym roku będziemy oczywiście jak i w poprzednich pracowali w poszczególnych sekcjach, wspierając, jednocząc i kontynuując badania naukowe naszych członków, zarazem jednakże chcielibyśmy wystąpić z szeregiem manifestacji, na większą skalę zdolnych zainteresować szersze koła i narzucić się opinji, którą w tej chwili szczególnie należy zdobywać dla Polski, prostując błędne o nas mniemania i wpajając w nią zrozumienie dla naszej politycznej i kulturalnej roli.

"Dlatego postawiliśmy sobie w tym roku, jako pewnego rodzaju zasadę, aby organizować konferencje zbiorowe o charakterze oczywiście najpoważniej naukowym, ale związane bądź z aktualnością, bądź z różnemi przypadającemi rocznicami. Da to nam możność wyzyskać większą ilość prelegentów jak też wytworzyć na tych zebraniach atmosferę poważnej polemiki tak ważną w propagandzie i tak właściwą życiu amerykańskiemu. "Jestem pewien" — mówi Rektor Halecki — "że pierwsza nasza manifestacja, którą planujemy na 20 października — zaraz po hołdzie złożonym przez nas Warszawie — przyciągnie bardzo liczne grono zarówno polskich jak amerykańskich słuchaczy. Będzie to 10-lecie śmierci pani Curie, które święcić będziemy wraz z Columbia University, w jednym z jego audytorjów. Najpoważniejsi specjaliści zarówno spośród Amerykanów jak i Europejczycy zabiorą głos: — prof. Bogert, prezes Międzynarodowej Unji Chemji, prof. Brillouin, znakomity uczony francuski, prof. Święcki tylko zaznaczyć — dodaje prof. Halecki, że prof. Hans Kohn, którego książka na ten temat obecnie jest dyskutowaną namiętnie sensacją zarówno naukową jak i polityczną weźmie również udział w tej naszej "round table".

Przechodząc do naszych innych zamierzeń na ten sezon, mamy zamiar położyć nacisk szczególny na prace Komisi Historji Polonji Amerykańskiej. Rozwinięciu tych prac poświęcony będzie zjazd, który odbędzie się w dniu 27 października w Orchard Lake. Chciałbym szczególnie podkre—



Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku

tosłowski, prof. Fajans. Następnie z okazji 100-lecia bitwy pod Warną — odbędzie się w Instytucie konferencja zbiorowa na temat krucjat; tutaj również mamy zapewnione wystąpienie takich wielkich specjalstów jak prof. Evans, prof. La Monte (Prof. Halecki weźmie też udział w tej dyspucie, tyczącej się epoki i zagadnienia, w których jest niezwykłym autorytetem). W lutym będziemy mieli bardzo ważną dyskusję na temat "Zagadnienie nacjonalizmu w historji europejskiej". Aktualności tego tematu nie trzeba chyba podkreślić; chciałbym ślić, mówi prof. Halecki, że Polonja nasza odnosi się z niezwykłym zainteresowaniem do działalności Instytutu a szczególnie do tego, co robi Komisja Polonji.

To zainteresowanie wspiera bardzo wydatnie nasz oddział lokalny w Chicago, którego "spiritus movens" są prof Pawłowski, Mrozowski i Skłodowski. Odbędziemy w najbliższym czasie uroczystą inaugurację tego oddziału, połączoną z bardzo ważnym zjazdem poświęconym odbudowie nauki polskiej. I jeszcze jedno zebranie — dodaje rektor — które te-

raz szczególnie jest ważne i na które tłumnie napewno stawią się Polacy. W końcu października jeszcze — będziemy mieli obchód 100-lecia Politechnki Lwowskiej.

Poza oddziałem w Chicago mamy też i inne oddziały lokalne w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie; o ich działalności czytał Pan napewno w biuletynie, przypomina mi prof. Halecki — wszystko wskazuje na to, że w tym roku będą one jeszcze wydatniej pracowały, liczba ich zresztą zwiększa się jeszcze, gdyż prof. Lednicki mianowany profesorem w Uniwersytecie Kalifornijskim, zakłada oddział w Kalifornji; z naszych delegatur w Brazylji, Madrytu i Peru mamy też bardzo dobre sprawozdania.

Jeżeli chodzi o wydawnictwa, to swego rodzaju pomnikiem będzie wydanie 500-stronnicowego tomu przekładów Mickiewicza wraz z obszernem i oryginalnem studjum o poecie prof. Noyes'a. Będzie to dla nas okazja do spełnienia bardzo serdecznego obowiązku złożenia hołdu prof. Noyes'owi tak niezwykle zasłużonemu dla wiedzy o Polsce w tym kraju. W czasie Bożego Narodzenia, które jest datą urodzn Mickiewicza, odbędzie się z tego powodu uroczyste zebranie w Instytucie."

Pytam prof. Haleckiego o inne wydawnictwa, choć Bogiem a prawdą, już to samo co biuletyn pomieszcza— jest plonem przynoszącym chlubę nauce polskiej na uchodźtwie i pracy Instytutu. Ale okazuje się że wyjdą pozatem i inne patronowane przez Instytut książki, między innemi arcydzieło prof. Kota "Ideologja Arjan Polskich" i prof. Gorczyńskiego "Porównanie klimatu Europy i Ameryki". Prof. Halecki kończąc mówi "To wszystko". Mówi ze skromnością człowieka, który ogarnia cały ogrom zadań ciążących na naszej intelektualnej emigracji, który świadomy jest wielkiej odpowiedzalności, nielicznych ambasad, reprezentujących tak straszliwie ograbioną i poranioną naukę i sztukę polską. To jednak, co nam powiedział o Instytucie, i czego mi nie powiedział, a co wiemy o jego pracy niestrudzonej uczonego, mówcy, obrońcy praw Polski, pełnego odwagi, ognia a zarazem taktu i świetnej formy naukowej — pozwala nam powiedzieć, że "To wszystko" jest to wszystko, co dało się w tej dziedzinie zrobić, i napewno postokroć więcej niż ktokolwiek inny, na miejscu prof. Haleckiego zrobić by zdołał.

WACŁAW IWANIUK

WIERSZ EGZOTYCZNY

Oto nad smutną moją głową,
niby nad trumną żyrandole,
rozkwita noc podzwrotnikowa,
najoczywistszym swym symbolem.

Jak więzień wiotkiej pajęczyny,
tkwię w sercu puszczy zroślinniały.
Pasterz obłoków, treść godziny...
Uśmiech od bólu oniemiały.

Pasterz... ma trzoda w słodkich drzewach,
błądzi jak dymy parujące,
: ciała pogłębia, gdzie dojrzewa,
las, z próchna trupów kiełkujący.

A ja jak kapłan drzew nicości,
Stróż mgieł samotnych. Pątnik nocy.
Drżę kiedy księżyc, ptak miłości,
zarzuca na mnie treść swych mocy.

I nikt do rąk mych nie przychodzi,
po chleb tak jasny i tak hojny.
Jedynie ponad głową brodzi,
księżyc uparty i spokojny.

Jak więzień wiotkiej pajęczyny,
wśród słów ukrywam znaki czasów,
aż przyjdzie do mnie treść godziny,
i zamknie mnie wśród głębin lasu.

MARTA WAŃKOWICZ-ERDMAN

Ojczyzna z ducha, nie z krwi

Rzeczą najbardziej uderzającą w książce Dorothy Adams WE STOOD ALONE ("Byliśmy Sami") — jest niewątpliwie to właśnie "MY". Wydrukowane białemi literami na czerwonej okładce, tuż obok polskego Orła w symbolicznych cierniach, to "MY" w ustach Amerykanki z Bostonu, to "MY" poprzedzające książkę o Polakach — jest czymś głęboko wzruszającem.

W WE STOOD ALONE Dorothy Adams opisuje prosto i bezpretensjonalnie 12 lat swego życia w Polsce wraz z mężem, Janem Kostaneckim, synem Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, który wraz z innymi profesorami krakowskimi przeszedł gehennę Oranienburga gdzie zmarł w zimie 1939-40.

Czytając książkę Dorothy Adams nie mogłam się wybronić wspomnieniu innej książki, której pojawienie się na półkach księgarskich powitało mnie po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych, cztery lata temu, a która — choć taka podobna okolicznościami — była niezmiernie inna. Mam na myśli książkę Virgilii Sapieha: POLISH PROFILE. Sytuacja obydwóch autorek była mniejwęcej taka sama. Obie były Amerykankami, które pojechały na studja do Europy, tam poznały swoich mężów, i wraz z nimi potem zamieszkały w Polsce, gdzie były aż do wybuchu wojny, do jesieni, 1939.

Mimo te powierzchowne podobieństwa, jakże inne są te dwie książki. Dorothy Adams i Virgilia Sapieha są jak dwaj dyrektorzy teatru, z których jeden pewnego wieczora łamał ręce z rozpaczy, że "pół sali puste", a drugi zacierał ręce z radości, że "pół sali pełne".

Pani Kostanecka woli zacierać ręce z radości, że "pół sali pełne". Na Śląsku, tam gdzie Virgilia Sapieha widziała tylko bandy wychudzonych dzieciaków, Dorothy Adams-Kostanecka słyszy szum hut i widzi, że produkcja kopalni podskoczyła w górę o 25 procent. W Warszawie, gdzie Virgilia Sapieha widzi tylko — wielkie niewątpliwie — niedociągnięcia mieszkaniowe, Dorothy Adams-Kostanecka widzi nowe domy strzelające w górę na Zoliborzu, na Zdobyczy Robotniczej, we Frascati, na Kole, i widzi szalony skok naprzód jaki Warszawa zrobiła wysiłkiem ludzkim w ciągu dziesięciolecia Niepodległości.

Niezmiernie ciekawie jest przyglądać się jak zmienia się stosunek Dorothy Adams do Polski, iść z nią razem krok po kroku przez rosnące życie odrodzonego kraju i znajdywać potwierdzenie tej wiary w Polskę, którą my, wychowani i urodzeni na tej ziemi, mamy we krwi, a którą Kostanecka zdobyła sobie własną inteligentną uczciwością i szczerem sercem.

Pisząc w Anglji pracę uniwersytecką o polsko-niemieckiej granicy na Śląsku, Dorothy Adams natykała się wszędzie na ostrą krytykę Polski. Panowało powszechne przekonanie, że "Polacy są rycerscy; umieją bohatersko umierać; ale to naród niepraktycznych marzycieli, żyjący w nędzy i zacofaniu."

"Właściwie przecież Polacy to barbarzyński naród!" mówiono młodej Amerykance. Słysząc to od ludzi ogólnie poważanych, od "autorytetów", zobaczywszy nędzę polską w pierwszych latach Niepodległości, a nie zdając sobie sprawy ze zniszczenia wojną — sama zaczynała w to wierzyć.

Nic dziwnego więc, że kiedy oświadczył jej się Jan Kostanecki, długo walczyła ze swoją miłością.

"Nigdy nie mogłabym zostać Polką", powiedziała Kostaneckiemu. — "Udławiłabym się w Waszym katolicyzmie, któremu nie ufam, którego się lękam. Byłabym nieszczęśliwa w kraju którym w głębi duszy gradzę."

Tymczasem okazało się, że tak jak już w Anglji inaczej się przedstawiały dobrze sformułowane propagandowe ogólniki niemieckie na temat Śląska, a inaczej statystyki i cyfry produkcji — tak też cudzoziemcy, którzy mieli okazję pracować z Polakami w terenie, inne mieli o nich zdanie, niż ci, co zdaleka dowodzili Dorothy o wyższości kulturalnej niemieckiej. Na Śląsku, zbierając materjał do swojej rozprawy, Dorothy spotkała Mr. Brooks'a, byznesmana amerykańskiego:

— Dlaczego Pan osiadł po polskiej stronie granicy?

— Łatwiej jest pracować z Polakami, odpowiedział. **Mogłem tu zorganizować fabrykę z mniejszą ilością robotników, niż ich mieli Niemcy, a jednak produkcja się zwiększyła. Wolę polskich robotników. Mają dużo inicjatywy a ich praca wychodzi poza ramy ślepego wykonywania rozkazów.**

Dorothy Adams słuchała zdumiona: pierwszy to raz ktoś jej mówił przychylnie o Polakach. I to kto! Trzeźwy byznesman amerykański, który sprzedał swoje posiadłości w Niemczech, żeby założyć nowy warsztat pracy w Polsce.

Kilka lat upłynęło od tej wizyty na Śląsku. Dorothy Adams została panią Dorotą Kostanecką i zaadoptowała "barbarzyńską Polskę" jako swój kraj. Praca jej męża zmuszała ich do częstych wyjazdów zagranicę. Potem znowu wracali do Polski:

"Za każdym razem przekraczając granice, mieliśmy łzy radości w oczach, patrząc na rosnący dobrobyt naszego kraju; na odchwaszczone pola; na murowane domki, kryte dachówką zamiast dawnych drewnianych chałup krytych słomą; na małe miasteczka gdzie zakładano kanalizację; na bagniska poprzecinane siatką drenów. Jadąc rozległą równiną serca nam rosły z radości, że Polska nie jest już szara i bierna."

Dorota Kostanecka nie "przyzwyczaiła się" do kraju swego męża. Dokonała czegoś o wiele bardziej imponującego: stała się Polką. Wchłonęła w siebie tę polskość tak kompletnie, że przejęła nietylko wszystkie zalety polskie, ale nawet i polskie wady, i polskie skrzywienia myślowe, i pewną polską zaciekłą jednostronność w patrzeniu na wydarzenia

świata "z własnego podwórka". Wychowana w unitarianiźmie, obojętna religijnie — przyjęła katolicyzm. Przyzwyczajona do tego, że w Ameryce "Everybody is on his own" — przyjęła polski patryjarchalizm. Nasiąkła polską kulturą i polskim sposobem życia do tego stopnia, że kiedy wyjeżdżając z Polski do Ameryki na krótko przed wojną, spotkała w pociągu Amerykanów objeżdzających całą Europę w ciągu dwóch tygodni — czuła im się obca. Z trwogą jechała do kraju, w którym się urodziła i wychowała. **"W Ameryce nie będzie mi nic grozić,"** myślała w pociągu, **"ale będę powoli zamierać z samotności, lęku i żalu."** ł

Żeby zrozumieć w pełni tę rewolucję duchową—przestawmy sytuację. Wyobraźmy sobie, że po latach, które wielu z nas spędziło w Ameryce, wracamy do Polski z żalem i lękiem. Wtedv dopiero, widząc oczywistą niemożność zapomnienia i "zdrady" zrozumiemy, że w Dorocie Kostaneckiej mamy dzisiaj nie dobrą znajomą, nie przyjaciółkę nawet — a siostrę. Ktoś z moich przyjaciół amerykańskich kto był w Polsce, powiedział mi ze ździwieniem: "To be Polish is not a question of nationality. It's a state of mind". Dorothy Adams tak właśnie stała się Polką. Z ducha, nie z krwi.

Wyjeżdżając z Warszawy tuż przed wybuchem wojny Dorothy Adams czuła się jak Judasz.

"Nie czas na emocje," powiedziano jej w Polsce. "Pomyśl ile możesz dla nas zrobić w Ameyce."

Dorothy wzruszała ramionami bezradnie:

"Nikt nie uwierzy w to co mówię. Polska ma złą opinję w prasie amerykańskiej."

I pokazywała swoim polskim przyjaciołom numer LIFE'a z fotografią obdartych dzieciaków bawiących się przed napół rozwalonemi stodołami o słomianych dachach, które — według podpisu — miały by ich domami, i z komentarzem o polskich "landlordach", polskim feudaliźmie i wojskowej klice rządzącej krajem.

Wszyscy się roześmieli: "Ktokolwiek sprawdzi cytry, zobaczy, że to nieprawda!"

"Amerykanie czytają gazety. Nie sprawdzają cyfr."

Starałam się wytłumaczyć, że nie było jeszcze takiego dziennikarza amerykańskiego, któryby spędził więcej niż tydzień w Polsce, ale że mimo to, nie znając języka, nie sprawdzając danych statystycznych i cyfr — pisano dużo o Polsce.

"Nic dla was nie będę mogła zrobić w Ameryce!" powiedziałam z rozpaczą.

Jak widać z licznych recenzji w pismach amerykańskich, Dorota Kostanecka — chwała Bogu — pomyliła się. Jej ciepła, szczera, bezpośrednia i odważna książka zrobiła wiele. Jest jeszcze jedną — jedną z niebardzo wielu — cegiełką budującą Polskę w Ameryce.

Dziękować pani Kostaneckiej za jej książkę nie mamy co, bo jest jedną z nas. Możemy tylko powiedzieć: Dobra robota! I życzyć sobie tego, by każdy z nas mógł tutaj tyle zrobić dla Polski.



Sztandar Polskiej Dywizji Zmotoryzowanej w Normandji

WOJCIECH ŚWIĘTOSŁAWSKI

ROZWÓJ PRZEMYSŁOWY POLSKI

V. PRACE BADAWCZE I ORGANIZACYJNE IGNACEGO MOŚCICKIEGO

W poprzednich artykułach ogłoszonych w "Tygodniku Polskim" opisane zostały, w wielkim zresztą skrócie, osiągnięcia polskie w rozwoju uprzemysłowienia i ogólnego postępu technicznego naszej Ojczyzny. Stuletnia rocznica założenia Politechniki Lwowskiej nastręcza sposobność do omówienia działalności jednego z jej profesorów Ignacego Mościckiego późniejszego Prezydenta Rzeczypospolitej.

Z licznych rozmów z niefachowcami niezwiązanymi bezpośrednio z temi gałęziami technologji i elektrotechniki, które były ulubionemi dziedzinami pracy twórczej prof. Mościckiego, przekonałem się, że mimo kilku broszur i artykułów w prasie fachowej mało zdawano sobie sprawy z doniosłości wynalazków i roli profesora Mościckiego. Mniej jeszcze wiedziano w szerokich kołach społeczeństwa o wielkim wpływie, jaki wywarł prof. Mościcki na całe młode i starsze pokolenie inżynierów, techników a zwłaszcza profesorów i uczonych polskich. Wszyscy Polacy o tem wiedzieć powinni.

Powołany przez prof. J. Wierusz Kowalskiego na asystenta fizyki na uniwersytecie Fryburskim w Szwajcarji, rozpoczyna I. Mościcki swe słynne prace nad technicznym rozwiązaniem problemu wiązania bezpośredniego azotu powietrza z tlenem. Używa do tego łuku elektrycznego wirującego. Stosować też musi wysokie napięcie. Elektrotechnika nie rozporządzała w okresie 1900-1910 latach sposobami posługiwania się takiemi napięciami. Dlatego też obok zagadnienia elektrochemicznego powstaje nowy problemat czysto elektrotechniczny. Prof. Mościcki rozwiązuje go w sposób genjalnie prosty. W wyniku tego wynalazku powstaje w Szwajcarji pierwsza w świecie fabryka kondensatorów na wysokie napięcie. Kondensatory prof. Mościckiego ustawione były w swoim czasie na wieży Eifla w Paryżu. Stanowiły one wówczas wielką nowość techniczną.

W tym samym czasie buduje prof. Mościcki fabrykę kwasu azotowego, mającą zużywać powietrze, wodę i energję elektryczną do wytwarzania tego kwasu.

W tym to czasie odbywa się pamiętne posiedzenie przedstawicieli szwajcarskich przemysłowców i finansistów celem sfinansowania wynalazków profesora Mościckiego. Zdumionym finansistom zagranicznym przedstawia młody wynalazca swoje warunki. Chce, aby ziemie polskie podzielone wówczas na trzy zabory, wyłączone były i mogły korzystać z wynalazków Polaka bezpłatnie. W ten sposób chcał Mościcki zapewnić Polsce prawo bezpłatnego korzystania z wynalazku, który zapewniał zwiększenie urodzajów przez użycie soli kwasu azotowego jako nawozów sztucznych.

Na zjeździe elektrotechnicznym w Szwajcarji wprawna ręka I. Mościckiego demonstruje szereg fascynujących doświadczeń z prądami o wysokiem napięciu. Słynny profesor fizyki Crooks przyjeżdża z Wielkiej Brytanji, aby wydać swoją opinję o doniosłości wynalazków młodego polskiego wynalazcy. Szkic odręczny zrobiony ołówkiem podczas krótkiej rozmowy wystarcza Ensteinowi, aby zrozumieć, w jaki sposób działa łuk elektryczny wirujący w piecu Mościckiego.

Rok 1912 jest datą pamiętną dla Lwowa i Politechniki Lwowskiej i dla całej Polski. W czasie tym zjeżdża profesor Mościcki do Lwowa, aby objąć katedrę Chemji Fizycznej i Elektrochemji na Politechnice.

W tym czasie Politechnika Lwowska miała za sobą bogate tradycje. Służyła przez lat wiele rozwojowi przemysłu w Małopolsce. W murach jej studjowali liczni studenci, pochodzący z Kongresówki i Ukrainy. A trzeba sobie uświadomić, że Politechnika Lwowska była nietylko uczelnią techniczną, ale wielkim ośrodkiem wychowania obywatelskiego młodzieży. Wychowywała młodzież na duszą i ciałem oddanych obywateli, mających przez całe swe życie służyć sprawie polskie niezależnie od tego, gdzie los ich po kuli ziemskiej miał rozrzucić.

Jako uczony i wynalazca profesor Mościcki wniósł nowe elementy do życia Politechniki Lwowskiej, przywiózł ze sobą rozległą wiedzę i doświadczenie, a przedewszystkiem zrozumienie, jakiemi drogami wynalazca kroczyć powinien, aby największy pożytek przynieść swemu krajowi. Do tego dołączał niesłychanie wielki entuzjazm i dla pracy i dla idei, której wiernie służył.

Interesują Mościckiego takie tematy, których pomyślne rozwiązanie może w znacznej mierze przyczynić się do gospodarczego i technicznego rozwoju kraju. Rozmyślnie unika sam i zachęca innych do unikania tematów, których rozwiązanie przynosiło ze sobą nie wielkie tylko ilości przerabianego surowca, gdyż taki postęp techniczny nie mógł zaważyć na wzbogaceniu się kraju.

Słuchacze Politechniki Lwowskiej, asystenci, koledzy, a wreszcie liczne grona profesorów i uczonych, wchłaniali w siebie te myśli i w ten sposób zasadnicza idea prof. Mościckiego porastała w siłę, przekształcała się w jasno zakreślony kierunek.

W tym to czasie zakłada Mościcki Spółkę "Metan", — oddaje tej spółce dochody z patentów własnych. "Metan" miał za zadanie pionierską pracę naukową i techniczną nad rozwiązywaniem tematów, związanych z dalszym rozwojem przemysłu. Tu dokonywa Mościcki wielu wynalazków. Wynajduje metodę rozdzielania emulsji ropy naftowej w wodzie i podnosi wydajność wydobywanej ropy naftowej w Małopolsce, opracowuje też plany niewielkiej fabryki elektro-technicznej wybudowanej już za czasów Polski niepodległej w Borach, w Zagłębiu węglowym Krakowskim. Opracowuje zagadnienia destylacji nafty, otrzymywania kwasu cjanowodorowego, wreszcie inicjuje prace nad przerabianiem gliny krajowej na tlenki alumjum, tak aby mieć krajowy surowiec do wytwarzania tego cennego metalu.

W chwili, gdy Rząd Polski przystąpił do administrowania Górnym Śląskiem, wzywa Mościckiego do uruchomienia największej wówczas wytwórni związków azotowych w Chorzowie. Zadanie to było niełatwe. Niemcy wywieźli wszystkie kreślenia techniczne, wszystkie schematy produkcji i detale, dotyczące aparatury. Istniała poważna obawa, że dokonane będą próby złośliwego sabotażu. To też trzeba było się zdobyć na wysiłek nielada, aby zadaniu sprostać. Prof. Mościcki rozwiązuje to w sposób klasyczny. Zjeżdża ze Lwowa ze sztabem oddanych sobie asystentów i zaawansowanych studentów. racują przez dwa tygodnie bez wytchnienia, a wkrótce fabryka zostaje uruchomiona bez żadnego wypadku, a w parę miesięcy później produkcja fabryki zostaje powiększona przez nowy wynalazek profesora, który wprowadza pro ste, ale bardzo wydatne udoskonalenia pracy pieców elektrycznych do otrzymywania węglka wapnia, będącego produktem pośrednim w wytwarzaniu nawozu azotowego zwanego sjanamidem wapniowym.

Rok 1926 jest rokiem przełomowym dla profesora Mośeckiego. Musi się zdecydować na bardzo wydatne zmniejszenie swej pracy jako uczone-

go, gdyż zostaje Prezydentem Rzeczypospolitej. Nie ustaje jednak w pracy nad uprzemysłowieniem Polski i przysposabianiem jej do obrony.

Nieliczni obywatele polscy, jeszcze mniej liczni obywatele amerykańscy wiedzą o tem, że Marszałek Piłsudski, jako Minister Spraw Wojskowych, oddał całkowicie Prezydentowi Mościckiemu w zarząd wszystkie sprawy związane z wytwórniami wojskowemi. Badanie postępów produkcji, jej doskonalenie, wyniki badań naukowych, raporty dyrektorów naczelnych, plany dalszego rozwoju przemysłu wojennego i innych gałęzi, z przemysłem wojennym związanych, należały do wyłącznej kompetencji profesora Mościckiego. Przez szereg lat co piątek zajeżdżało auto Prezydenta przed gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych i w gmachu tym pracował prof. Mośccki, nie jako Prezydent, ale jako uczony, inżynier i administrator.

Po r. 1931 praca nad rosnącemi agendami ogólno państwowemi oderwała Prezydenta Mościckiego od tego, co było jego najbardziej ukochaną dziedziną pracy i przewodnią ideą życia. Od tego też czasu w ciszy gabinetu prezydenckiego rozpatrywane są już tylko najbardziej istotne i podstawowe zagadnienia z przemysłem związane. Szczegóły administracyjne dotyczące samych wytwórni przestały docierać na Zamek.

Dzięki inicjatywie prof. Mościckiego powstała pod Tarnowem wielka nowoczesna wytwórnia amoniaku, kwasu azotowego i nawozów sztucznych, zawieraących azot. W tym czasie poznano już inną tańszą metodę wiązania azotu powietrza nie z tlenem ale z wodorem. Otrzymany w ten sposób amoniak przerabiano na kwas azotowy. Prof. Mościcki przyczynia się wydatnie do racjonalnej budowy tej wytwórni. Dokonywa przytem wynalazku, będącego modyfikacją aparatu, wybudowanego przez niego dawniej w Szwajcarji. To też wieże absorbujące tlentki azotów wybudowano według wynalazku prof. Mościckiego.

Całkowity dochód z tego, jak też wszystkich innych wynalazków profesora Mościckiego, wpłacany był zawsze do kasy Chemicznego Instytutu Naukowego który zużywał te sumy na dalszą pracę badawczą, mającą na celu rozwój przemysłu chemicznego w Polsce.

Obecne pracuje profesor Mocicki w jednem z laboratorjów w Lozannie nad zagadnieniem oczyszczania powietrza. Ideą przewodnią tej pracy jest nietylko usuwanie z powietrza zanieczyszczeń szkodliwych dla zdrowia, ale wzbogacanie go w czynniki, mogące leczyć przewody oddechowe lub dodatnio oddziaływać na zdrowy organizm ludzki.

Niewątpliwie przyjdzie kiedyś czas na ocenę bezstronną, objektywną, pozbawioną animozji politycznych działalność tego wielkiego uczonego, wynalazcy i patrioty. Nie traćmy też obecnie z pamięci tego co jest istotnie wzniosłe, wielkie i piękne zarazem.

Profesor Ignacy Mościcki jest czołową postacią we współczesnem życiu Polski, który jako uczony, wynalazca i administator przyczynił się wielce do przemysłowego i technicznego rozwoju Polski w okresie lat 1918-1939.

SCRUTATOR

CHESTERTON A POLSKA

Niedawno ukazała się obszerna monografja Chestertona pióra Maisie Ward*. Omawia ona m. in. pamiętną wiztę znakomitego pisarza w Polsce w r. 1927 na zaproszenie warszawskiego P. E. N. Clubu Podróż odbył Chesterton w towarzystwie swej żony Frances i sekretarki Dorothy Collins: "okazano tu niezmierny entuzjazm dla człowieka który ustawicznie podnosił wielkość Polski i jej prawdziwe miejsce w Europie."

Chesterton zawsze pragnął napisać książkę o Polsce. Uważał, że Anglicy i Polacy mają wiele cech wspólnych, ale że Anglik nigdy nie miał okazji zozumienia Polaka. "Nonsensy dzienników, kiedy prawią one o tym co nazywają polskim korytarzem" — mówił Chesterton — wynikją z nieznajomości przedrozbiorowych dziejów Polski. Poza tym Anglicy nie zdają sobie sprawy, że Polacy zawsze muszą wybierać pomiędzy dwojgiem złego (the Poles always have a choice of evils)".

Tak czy inaczej, Polska, będąc panią swoich losów—przeżywała chwile niezwykłego szczęścia. Odrodzenie rolniczego kraju następowało "zdumiewająco szybko". Licznym posiadaczom chłopskim dobrze się powodziło na 7-hektarowych gospodarstwach, a nawet robotnicy rolni mieli własne kawałki ziemi i jedną lub dwie krowy.

W liście do matki, pani Chesterton skarży się nieco na obfitość obiadu wydanego przez P. E. N. Club, ale podkreśla, że "mowy były zdumiewająco doskonałe (perfectly marvelous), wygłoszone całkiem potoczną angielszczyzną i bardzo dowcipne, przy czym ujawniały taką dokładną znajomość dzieł Gilberta, jakiej nie posiada żaden z moich znajomych Anglików".

Chesterton wiele rzeczy widział w Polsce, ale najbadziej utkwił mu w pamięci epizod następujący. Pewien młody ziemianin opowiedział pisarzow, że wprawdze jego dom w ogniu walk został zniszczony przez żołnierzy bolszewickich, jednak żywi on do nich żal tylko za jedną rzecz. "...Zaprowadził nas długą aleją topolową do posągu Matk Boskiej; miała odstrzelone głowę i ręce. Ale ręce były podniesione do góry; i jest rzeczą dziwną, że wydawało się iż to okaleczenie nadaje większy sens postawie wstawiennictwa: prośbie o litość dla bezlitosnej rasy ludzkiej".

Sympatje Chestertona dla Polski ujawniały się w całej jego działalności publicystycznej. Ujawniały się szczególnie w okresie prac nad traktatem wersalskim. Stanowisko swoje określa Chesterton jasno w liście otwartym do Rufusa Isaacsa ("New Witness" z dn. 13 grudnia 1918 r.), który jako delegat brytyjski miał towarzyszyć Lloyd George'owi na konferencję pokojową. Z Isaacsem zmierzył się już raz Chesterton, kiedy to organ jego brata, Cecila, pierwszy ujawnił aferę Marconiego ,do której Rufus — podówczas prokurator naczelny, w okresie wojny prezes sądu najwyższego ,potem wicekról Indji —przez nabycie akcj tego towarzystwa był zamieszany. Mianowanie Isaacsa delegatem na konferencję pokojową — pisze biografka Chestertona — oznaczało niebezpieczeństwo dla Polski, łączyło się bowiem z dążeniem międzynarodowej finansjery do podtrzymania Niemiec. Zastanawiając się, w jaki sposób mogło się stać, że Rufus Isaacs, "zbłąkany makler giełdowy", mógł narodowi angielskiemu narzucić siebie jako najwyższego lorda sprawiedliwości, pisze Chesterton, iż nie chodzi o to "do jakiego stopnia Pan się nam nie podoba, ale do jakiego stopnia Pan się nam po-

---

*Glbert Keith Chesterton by Maisie Ward. With thirteen illustrations. Londyn, Sheed and Ward, 1944, str. VI i 2nl i 574 i 2nl. i tabl. 8.

doba: albo też czy podoba się Pan nam bardziej iż Anglja, bardziej niż Europa, bardziej niż Polska — filar Europy, bardziej niż honor, bardziej niż wolność, bardzej niż fakty". Zagadnienie, czy Anglia przegra wojnę, którą już wygrała, wiąże się ściśle z zaspokojeniem narodowych pretensji Polski."

W tym czasie żona brata Chestertona, Cecila, który padł na polu chwały, odwiedziła Polskę i w szeregu reportaży ukazała walkę Polaków o życie i wolność. W "New Witness" pojawią się artykuły publicystów polskich. W redakcji tego pisma — dodaje Maisie Ward — nie było napewno nikogo ktoby był takim ignorantem jak Lloyd George, który nie wiedział, gdzie znajduje się Cieszyn. Na tym zresztą polegała tragedja Wersalu. Reprezentanc Ameryki i Anglji nie orientowali się należycie w stosunkach europejskich. Nawet Wilson był doktrynerem, który przekładał mętne koncepcje Ligi Narodów nad rzeczywiste narody, jak Polska czy Włochy. "New Witness" powtarza ustawicznie, że tylko od jednej rzeczy zależy stały pokój w Europie: od usunięcia Prus z ich przodowniczego stanowiska w Rzeszy — Polska, Włochy i Francja muszą być silne. Niestety, "zarówno Lloyd George jak Wilson byli nastawieni zbyt antykatolicko, aby sympatyzować z katolicką Polską (jeśli chodzi o Lloyd George'a, trzeba mówić o nienawiści do Polski)"; Lloyd George działał "wściekle (savagely)" przeciw przyszłej Polsce. Belloc przepowiadał, że z pokoju wersalskiego zrodzi się wie le wojen. Wprawdzie Czesi dostali wszstko czego chcieli, d'Annunzio zaś zdobył dla Włoch Fiume — ale Polska nie osiągnęła swoich celów. Zawierzyła ona sprzymierzeńcom i czekała na rezultaty konferencji pokojowej — w tym właśnie czasie Niemcy prześladowali i wypędzali Polaków z Prus Wchodnich. "Lloyd George i Churchill — pisze dalej autorka — wysłali korpus ekspedycyjny do Archangielska na pomoc "białym" Rosjanom, ale gdy bolszewicy najechali Polskę, nie udzielono jej poparcia. Podobnie sprzymierzeni nie zaopatrzyli Polski w przyrzeczone jej surowce, potrzebne do odbudowy życia gospodarczego. Nasze pisma ustawicznie donosiły o pogromach w Polsce. W rzeczywistości dokładne badania, prze prowadzone przez pisarzy z "New Witness", nie mogły wykryć żadnych pogromów w miastach, których nazwy podawano".

W kwietniu 1919 r. Chesteton w mocnych słowach przepowiadał, jaka przyszłość czeka Europę, jeżeli odmówi się Polsce prawa do potęgi. Zachodowi grozi zemsta Niemiec i anarchja Rosji: jeżeli po naszej stronie nie znajdzie się chrześcijański i rycerski puklerz, jakim jest Polska, "będziemy mieli na karku pół Europy i być może, pół Azji". Jeżeli Polacy uzyskają Gdańsk i bezpieczną komunikację z Zachodem, będą skorzy do udzielenia temu Zachodowi pomocy. Jeżeli Gdańska nie uzyskją, nie będą mieli powodu i możności udzielenia tej pomocy ani Zachodowi ani komukolwiek. Chesterton dodaje, że polski port jest jedynym miejscem na całym swiecie, ktore powinno być utrzymane, i że to własnie miejsce zostanie poddane. Machinacje antypolskie przypisywał pisarz międzynarodowej finansjerze, twierdząc, ze prawdziwie angielska opinja publiczna nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwa Anglia dochodziła do głosu na polach bitwy: dzięki przelanej krwi angielskiej krzyż zastąpił półksiężyc w Jerozolimie, Alzacja i Lotaryngja wróciła do Francji a Polska zmartwychwstała.

Chesterton przypomina że Polacy powstawali raz po raz kiedy trzy kolosalne mocarstwa nie chciały dopuścić aby stali się oni narodem. Zdrowy rozsądek nie pozwala przypuszczać, że jeżli uczyni się ich pół narodem, nie będą pewnego dnia próbowali stać się całym narodem. "Ale wtedy wrócimy tam skądemy wyszli, po nowym okresie terroru i udręki i ohydnych jatek—wrócimy tam gdzie moglibyśmy — w pokoju i całkowicie bezpiecznie — stac mocno dzisiaj".

Memorjał Kongresu Polonji Amerykańskiej do pana Cordell Hull'a

Ciąg dalszy

W ten sposób Rząd Sowiecki łamie prawo międzynarodowe tak właśnie, jak czynił to Hitler. Rząd Sowiecki łamie wszystkie umowy zawarte z Polską, wśród których znajdujemy tak podstawowe akty międzynarodowe, jak Traktat Ryski z 1921 r. oraz Polsko-Rosyjskie układy o nieagresji z 1932 i 1963 .rr. Postępując w ten sposób, Rząd Sowiecki łamie również zobowiązania Paktu Kelloga i Karty Atlantyckiej.

Dla usprawiedliwienia tych aktów przemocy i aneksji — rząd rosyjski powołuje się na popełnione przezeń poprzednio akty przemocy. Powołuje się na zabór (z pomocą Niemiec) tych terenów w r. 1939 oraz na gwałty i okrucieństwa popełnione przezeń na tych obszarach w okresie kolaboracji z Hitlerem wreszcie na tak zwany "plebiscyt" 1939 r., urągający wszelkim prawom Boskim i ludzkim.

Świadectwem owych gwałtów i okrucieństw są miljony obywateli polskich, litewskich, łotewskich i estońskich, zesłanych podówczas z zagarniętych obszarów do odległych obozów koncentracyjnych i więzień rosyjskich.

Rząd Sowiecki jawnie głosi, że zamierza pozbawić całe narody wolności i wprząc wiele miljonów wolnych ludzi w jarzmo totalizmu, odbierając im wolność słowa, sumienia, wyznania, myśli, stowarzyszeń, strajków, wychowania — słowem wolność wogóle. Jest to nie do pogodzenia z celami wojny prowadzonej przez Stany Zjednoczone.

8. Postępując tak Rząd Sowiecki gwałci również umowę ze Stanami Zjednoczonemi z 11 czerwca 1942 r., o pomoc z Lend and Leasu dla Rosji. Umowa ta, która umożliwiła Rządowi Sowieckiemu jego zwycięstwa, a której Rosja zawdzięcza niewątpliwie samą możność przetrwania — określała wyraźnie, słusznie i przewidująco, na jakich warunkach i dla jakich mianowicie celów nasze bogactwo i praca mają być podarowane Rządowi Sowieckiemu. Umowa ta mówi między innemi:

"Umowa pomiędzy Stanami Zjednoczonymi Ameryki i ZSSR. co do zasad wzajemnej pomocy przy prowadzeniu wojny przeciw agresji:

Zważywszy ,że Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki i ZSSR. oświadczają, że są zaangażowane wspólnie, wraz z każdym innym narodem i ludem podobnie myślącym, by położyć fundamenty pod sprawiedliwy i trwały pokój świata, zabezpieczający ład pod panowaniem prawa im samym i wszystkim innym narodom.

Zważywszy, że Rząd Stanów Zjednoczonych Ameryki i ZSSR. jako Sygnatarjusze Deklaracji Zjednoczonych Narodów z dn. 1 stycznia 1942 r. położyły swój podpis pod wspólnym programem celów i zasad, ułożonym dnia 14 sierpnia

1941 r. przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz Premjera Zjednoczonego Kólestwa Wielkiej Brytanji i Północnej Irlandji do których to głównych zasad Rząd ZSSR. przyłączył się 24 września 1941 r.

Zważywszy, że Prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki ustalił, zgodnie z Aktem Kongresu z dn. 11 marca 1941 r., że obrona ZSSR. przed agresją jest ważna dla bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych Ameryki,

Zważywszy, że Stany Zjednoczone Ameryki udzieliły i udzielają nadal ZSSR. pomocy dla odparcia agresji..."

Pomoc materjalna dana przez Stany Zjednoczone Rządowi Sowieckiemu na mocy powyższej umowy przekroczyła już zapewne 5 biljonów dolarów. Ocaliła ona ludność Rosji od śmierci głodowej i zaopatrzyła armję sowiecką w narzędzia walki. Ilość czołgów i samolotów dostarczonych Sowietom przekracza ilości jakie posiadała w 1939 r. jakakolwiek armja, nie wyłączając rosyjskiej i niemieckiej.

Ten olbrzymi dar Stanów Zjednoczonych był szczodrze ofiarowany dla słusznego i szlachetnego celu, by ocalić naród rosyjski przed agresją. Jednak napewno, (jak to wynika z cytat z umowy 11 czerwca 1942 r.) pomoc ta nie była dawana dla umożliwienia agresji ani dla ujarzmiania wolnych ludów. Postawa Stanów Zjednoczonych w odniesieniu do Państw Bałtyckich była dobrze znana Rządowi Sowieckiemu, kiedy podpisywał on umowę z 11 czerwca 1942. Rząd Stanów Zjednoczonych stwierdził niedwuznacznie, że aneksja tych Państw stanowi gwałt. Odpowiednia deklaracja, ogłoszona prze Urzędującego Sekretarza Stanu w dniu 23 lipca 1940 r. wypowiada to, jak następuje:

"W ostatnich dniach skończył się gwałtownie proces który okrężnemi drogami zmierzał świadomie do pozbawienia niepodległości i całości terytorjalnej trzech małych Republik Bałtyckich: Estonji, Łotwy i Litwy przez jednego z ich potężnych sąsiadów.

Od dnia, w którym ludy tych Republik uzyskały niepogległość i demokratyczne Rządy — naród Stanów Zjednoczonych patrzył na ich wspaniały postęp pod własnemi Rządami z głębokiem i pełnem sympatji zainteresowaniem.

Polityka naszego Rządu jest powszechnie znana. Naród Stanów Zjednoczonych przeciwstawia się zdradzieckim czynom bez względu na to, czy one są popełniane przez użycie przemocy, czy przez groźbę użycia przemocy. Tak samo przeciwstawiamy się wszelkiej formie mieszania się przez jakiekolwiek Państwo, choćby najpotężniejsze, w sprawy wewnętrzne innego suwerennego Państwa, choćby najsłabszego.

Zasady te stanowią fundament, na którym opierają się wzajemne stosunki suwerennych Republik w Nowym Świecie.

Stany Zjednoczone będą trwać przy tych zasadach, gdyż w przekonaniu Amerykanów dopóki powyższe zasady nie rozpoczną znowu określać stosunków między narodami — dopóty Rządy rozsądku, sprawiedliwości i prawa — innemi słowy: podstawy nowoczesnej cywilizacji — nie będą mogły być ocalone..."

Uparta polityka aneksji, głoszona przez Rząd sowiecki w stosunku do Polski i Państw Bałtyckich — obraża porówno ducha i literę umowy z 11 czerwca 1942 r. i czyni wątpliwą trwałość i wartość jakiejkolwiek umowy, zawieranej z obecnym Rządem Rosyjskim.

9. Jasne jest tedy, że Rząd Sowiecki odrzuca system Karty Atlantyckiej, a mianowicie system związku opartego na równości narodów, uznających pierwszeństwo prawa przed siłą. Przyjmując w stosunkach międzynarodowych i międzyludzkich zastosowanie siły przed prawem — Rząd Sowiecki dąży do zastąpienia Karty Atlantyckiej przez Kartę Sowiecką: "sfery wpływów", która, z samej natury rzeczy, oparta być musi na przemocy.

Że tak jest właśnie — zostało dowiedzione ponad wszelką wątpliwość przez stosunek Sowietów do Polski i Państw Bałtyckich.

Ponadto, przez swe negatywne stanowisko, Rząd Sowiecki obalił daleko już posunięte prace nad stworzeniem Regjonalnych Federacji Europejskich które premjer Wielkiej Brytanji, w swej mowie z 21 marca 1942, nazwał był najlepszem rozwiązaniem wielu problemów przyszłości.

Jeszcze więcej zastanawiającym przykładem przeciwdziałania przez Rząd Sowiecki nowej organizacji świata na zasadach Karty Atlantyckiej — jest wyraźnie podejrzliwe zachowanie Sowietów wobec wszelkich prób wzajemnego zbliżenia dwóch największych Mocarstw Wspólnoty Zachodniej: Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanji.

10. Naród amerykański stoi więc— naszem zdaniem — wobec dylematu wyboru między: 1. systemem Karty Atlantyckiej który, jak powiedziano wyżej, jest systemem zjednoczenia wolnych narodów uznających pierwszeństwo prawa przed siłą, lub 2. systemem Karty Sowieckiej, czyli systemem "sfery wpływów", opartym na zasadzie pierwszeństwa siły przed prawem.

Uważamy za nasz obowiązek stwierdzić, że, wedle naszego przekonania, systemy te nie dają się pogodzć. Obawiamy się, iż wysiłki pogodzenia ich — względnie stworzenia pozorów tego — są przyczyną obecnej niejasności naszej polityki zagranicznej, co wzbudza wiele uzasadnionych zastrzeżeń.

Jesteśmy zdania, że naród amerykański nie powinien dłużej trwać w wahaniu, jaki z tych dwóch systemów winien być przyjęty. Należy z pelnem zrozumieniem rzeczy, rozważyć natychmiastowe i przyszłe korzyści każdego z nich i dokonać wyboru.

11. W naszem mniemaniu przez przyjęcie systemu "sfer wpywów" Stany Zjednoczone utraciłyby zaufanie ludzkości.

Wybór taki skazywałby na oddanie w jarzmo totalistycznej sowieckiej niewoli wielu miljonów istot ludzkich. Skazywałby na wytrzebienie całe narody. Oznaczałoby to, wreszcie, że Europa ma być uwolniona od jednego totalizmu po to tylko, by popaść we władzę innego totalizmu.

Jak wynika z faktów stwiedzonych z całą pewnością — totalny ustrój sowiecki jest równie nie do przyjęcia dla wolnych narodów, jak ustrój nazistowski. Masowe wywłaszczenia, wysedlenia, uwięzienia i egzekucje — jak zamordowanie Altera i Ehrlicha i niedawne powieszenie 20 kierowników polskiego ruchu podziemnego, zgłaszających się do czerwonej armji z propozycją współpracy — dowodzą, iż ustrój nazistowski i sowiecki są podobnie antyhumanitane.

A zatem przyjęcie przez Stany Zjednoczone systemu "sfer wpływów" uczyniłoby nas współodpowiedzialnymi za antydemokratyczne i nieludzkie postępowanie Sowietów. Współodpowiedzialność zaś za pozbawienie wolnych ich wolności stałby się musiała nieznośnym ciężarem w naszej polityce międzynarodowej.

Stany Zjednoczone nie splamiono nigdy w historji przez zaborczy imperjalizm, mają moralne prawo objęcia kierownictwa wród narodów świata. Nasz izolacjonizm był zawsze skutkiem naszych własnych decyzji. Ilekroć postanawialiśmy porzucić go — olbrzymia większość narodów gotowa była stanąć przy naszym boku. Był to jeden z głównych czynników naszego bezpieczeństwa. Dziś jest oczywistością, że izolacjonizm, głoszący bierność wobec zła — był błędem. Natomiast nie wynikła z naszej decyzji izolacja, wywołana przez naszą współodpowiedzialność za zło — mogłaby stać się nieszczęściem narodu.

Dokończenie nastąpi.

OPINJE I ZDARZENIA



Barykada w Saskim Ogrodzie w Warszawie
(Niedawno nadeszła fotografja z Warszawy)

PARADA PUŁASKIEGO

Pod wpływem wieści o Warszawie organizatorzy dorocznej Parady Pułaskiego zmienili w ostatniej chwili jej tradycyjny charakter, usuwając z programu wszystko, co mogłoby wydawać się aktem nieusprawiedliwionej dziś radości i czyniąc z tej tradycyjnej manifestacji akt protestu przeciw opuszczeniu Polski przez Aljantów.

Że było to wyczuciem nie tylko polskich nastrojów, ale i atmosfery chwili świadczyły amerykańskie reakcje na tę właśnie inowację. Wszystko bowiem co zostało powiedziane tego dnia zarówno w czasie samej parady jak i na wieczorze w Waldorf-Astoria nacechowane było zrozumieniem znaczenia dziś właśnie problemu polskiego dla przyszłosci swiata i głębokim poczuciu odpowiedzialności za los Polski, ciążącej na wszystkich kierowniczych osobistościach i instytucjach aljanckich. Zarówno demokraci jak republikanie — senator Wagner gubernator Dewey (trzykrotnie tego dnia — bo poza dwoma przemówieniami również w liście do ciężko chorego prezesa Węgrzynka) Mayor La Guardia, b. prezydent Hoover — dali tym myślom i uczuciom bardzo mocny wyraz. Jeszcze jeden dowód więcej — że powinniśmy głośno i odważnie dopominać się o nasze prawa, bo za niemi stoi prawo samo, nie do podważenia słuszność i najlepiej zrozumiany interes Wielkich Demokracji.

PRASA O POLSCE

"New York Times" niedzielny był swego rodzaju rekordowy — jeżeli chodzi o zainteresowanie sprawami polskiemi tak dziś wyraźne w całej prasie amerykańskiej i świadczące o, oby trwałym, przełomie w opinji. W numerze tym konflkt polsko-sowiecki omówiony był objektywnie i ze zrozumieniem stanowiska polskiego w trzech aż artykułach. Następnego dnia oświadczenie gubernatora Deweya o Polsce, jego wezwanie do Polaków Amerykańskch, aby wyprowadzili sprawę polską na światło dzienne poszło jako sensacja polityczna dnia na pierwszej stronie.

KRÓL KAROL I SOWIETY

Podobno młody król Michał, który doprowadził do usunięcia Antonescu i zerwania Rumunji z Niemcami jest dla bolszewików za samodzielny i za pro angielski i chcą one dlatego sprowadzić jeszcze raz na tron króla Karola, który dotąd wydawał się tak pro niemiecki Stanom Zjed., że odmawiały mu stale wizy z jakże niedalekiego Meksyku na przyjazd do Stanów. Pan Umański już podobno rzecz zgrubsza ułożył i podróż Karola do Europy ma się skończyć pod przyjazną opieką sowiecką w Bukareszcie. A Tuwim ciągle uważa, że Sowiety walczą z faszyzmem.

PISARZE KANADYJSCY DO POLSKICH

W związku z Kongresem Pisarzy Kanadyjskich — Koło Pisarzy z Polski w New Yorku wysłało następującą depeszę na ręce Prof. Watsona Kirkconnell'a:

"On the occasion of your annual meeting, the Association of Writers from Poland, 806 Lexington Avenue, New York City, sends harty greetings. It is our sincere wish that the Polish and Cannadian brotherhood of arms, baptised in the fire of the common struggle in Africa, Italy and France, shall crystalize in the lasting collaboration of our two nations who fight for the freedom of their lands, their convictions and their speech. Today when the burning homes of Warsaw, deserted and alone, have become a witness to the lonely struggle of the Poles for freedom, Polish writers turn with outstretched hands to their Canadian colleagues ready and eager to participate in the great work of world reconstruction and rebirth."

W odpowiedzi na powyższą depeszę przewodniczący Koła Pisarzy z Polski Kazimierz Wierzyński otrzymał depeszę następującej treści od p. Watsona Kirkconnell'a Prezesa Związku Pisarzy Kanadyjskich:

"Dear Mr. Wierzyński:

I am directed by the Canadian Authors' Association, in annual convention at Hamilton, to convey to you their warm thanks for your telegram of greetings.

This is the fifth tragic anniversary of Hitler's brutal attack on Poland, an attack which brought Canada into the War on Poland's side. Canadians and Poles have fought shoulder to shoulder against a common enemy in Italy and now again in France, where Polish units are part of the First Canadian Army. Canada's suffering and loss from the War are not comparable to those of Poland, but we have shed our blood in a common cause

and share in a common ideal of freedom.

Permit me, on behalf of the writers of Canada, to hope and pray that the exiled writers of Poland may soon be able to return to a free homeland, there to share in the fruitful and democratic rebuilding of Polish national life. Poland's future is still shrouded in infernal night. Let us hope that the darkest hour is just before the dawn!

Most cordially yours,
— Watson Kirkconnell
National President, Canadian Author's Associaton.

NOWE KSIĄŻKI ROYU

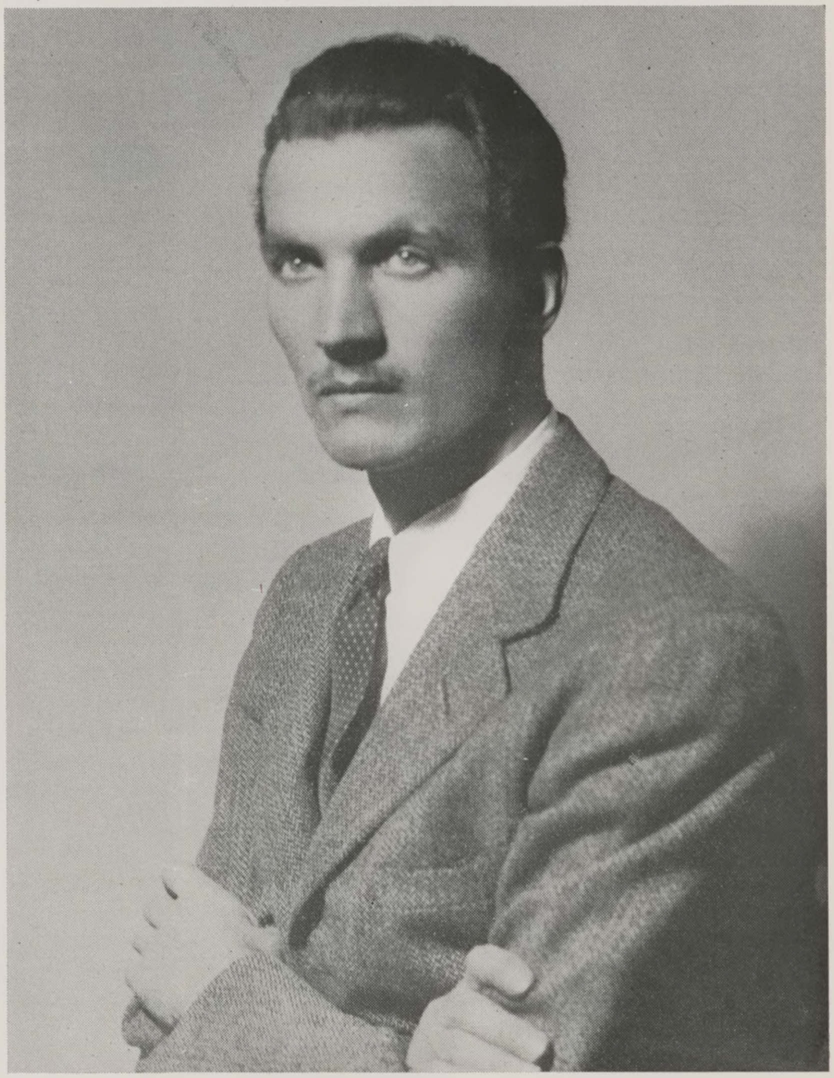
Poza książką Wierzyńskiego "The Forgotten Battlefield" o której wyjściu z druku i pierwszych recenzjach jużeśmy pisali, wyszła jednocześnie nakładem Royu książka ' 'Poland fights back" Ksawerego Pruszyńskiego, obraz udziału Polski w tej wojnie oraz ostatnie dzieło przedwcześnie zmarłego znakomitego uczonego polskiego Bronisława Malinowskiego — "Freedom and Civilization". W najbliższym czasie ukaże się w tem samem wydawnictwie polski oryginał tomu Wierzyńskiego pt. "Pobojowisko" oraz tom studjów Wacława Lednickiego.

AZJA I AFRYKA

Doszła nas z Drugiego Korpusu książka niezwykła, niezwykła jako dokument, ale mająca też karty o wielkiej artystycznej wrtości. Książka ta licząca przeszło 300 stronnic druku nazywa się "Azja i Afryka" jest antologją poezji napisanych przez poetów, którzy bądź to znaleźli się w szeregach Drugiego Korpusu, bądź też mniej lub więcej ściśle związali z nim swoje losy. Nigdy jeszcze takiej Odyssei jak ta, której świadczy owa antologja — nie odbywała poezja polska, to też "Afryka i Azja" jest to prawdziwa skarbnica motywów nowych, odczuć i rozważań niezwykłych mających się jeszcze napewno szerzej rozwinąć, mocniej odezwać w twórczości poetów, którzy tę Odyssee odbyli.

Oto nazwiska tych poetów, wśród których są i bardzo znane i debiutujący, niektórzy sensacyjnie: Lech Piwowar, Bogumił Andrzejewski, Jerzy Bazarewski, Czesław Bednarczyk, Jan Bielatowicz, Zdzisław Broncel, Ludwika Biesiadowska, Władysław Broniewski, Józef Bujnowski, Jadwiga Czechowiczówna, Marjan Czuchnowski, Czesław Dobek, Stefan Ejchler, Ksawery Glinka, R. Grzymała, Marjan Hemar, Wlastiml Hoffman, Władysław Jaworski, Ks. Kamil Kantak, Bolesław Kobrzyński, Feliks Konarski (Ref-Ren), Jarzy Dołęga Kowalewski, Anatol Krakowiecki, Janina Królikowska, Jan Kudrewicz, Jerzy Laskowski, Stanisław Ligoń, Teodozja Lisiewicz, T. Lubicz, Artur Międzyrzecki, Zygmunt Milewski, HenrykMirzwiński, Stanisław Młodożeniec, Romuald Moszoro, Kazimierz Nałęcz, Beata Obertyńska, Jan Olechowski, Lucjan Paff, Marja Petry, Bolesław Redzisz, Czesław Rosiński, Kazimierz Sawicz, Sindbad, Władysław Skupień, Tadeusz Sowicki, Witold Szyfer, Janusz Wedow, Tedeusz Wittlin, K. Wiwatowski, Jerz Woszczynin, Józef Żywina.

JAN KARSKI



Książka Karskiego odznaczona przez The Book of the Month Club będzie nosić ostatecznie tytuł "The story of a secret state" i ukaże się później niż zapowiadano—w końcu listopada a to ze względu na nowe zobowiązania wynikające z zakupu książki przez klub. Pomyślana i napisana jako obraz podziemnej Polski walczącej na śmierć i życie z Niemcami — wobec ataków Sowietów na Polskę, ich zapewnień, że poza komunistyczną robotą podziemną — nie było żadnej innej w Polsce, książka Karskiego staje się zarazem niezwykłym argumentem w innej walce o nasze prawa, oddając sprawie polskiej podwójną wielkiej ceny przysługę.

PREMJERA W TEATRZE ARTYSTÓW

W sobotę, pamiętajcie, 21go października, o godzinie 8.30 Polski Teatr Artystów otwiera swój sezon w nowej podobno bardzo wygodnej i dobrze dla Polonji tutejszej sytuowanej sali przy 66 East 4 Street.

Idą dwa arcydzieła naszej poezji dramatycznej, którym tragiczne wypadki ostatnie wróciły niezwykłą aktualność "Warszawianka" Wyspiańskiego i scena więzienna z 3-części "Dziadów".

Przedstawienie budzi zrozumiałe zainteresowanie publiczności, spragnionej w tej chwili pociechy wielkiej poezji i ech narodowych. Wszyscy czekają na nową kreację Marji Modzelewskiej w roli w której kiedyś pod okiem samego twórcy grała Helena Modrzejewska.

Najlepsze głosy z za kulis dochodzą nas o sprężystej reżyserji Gantkowskiego, który wystąpi też w naczelnych rolach męskich — Konrada i Chłopickiego. Wszystkie najlepsze siły zespołu — wystąpią tego wieczoru, a więc poza wymienionemi: Bogdańska, Dziewońska, Nakoneczna, Ożarzewska, Ilcewicz, Krzemieński Modzelewski. Skrzyneckiego w "Warszawiance" gra wytrawny aktor starszej generacji Poleński, który grał przed laty w tej samej sztuce z Modrzejewską. Jako literat w "Warszawiance" i Feliks w "Dziadach" zadebjutuje w zespole młody aktor tutejszy Jan Witanowski.

Dekoracje Lorentowiczówny, która tym razem będzie miała nielada zadanie — nadania monumentalnej głębi z konieczności małej scenie. Wiemy, że jak zawsze wyjdzie z tych trudności zwycięsko.

KLUB 303

W dniu 26go września br. w sali konsulatu R. P. w New Yorku odbyło się zebranie organizacyjne Klubu 303, który powstał w tym roku na wiosnę dzięki inicjatywie p. Anieli Strakaczowej. Klub nazwany został na pamiątkę naszej bohaterskiej eskadry lotniczej 303 w Anglji Klubem "303". Celem klubu jest zjednoczenie polskich kobiet w pracy ideowej, kulturalnej i charytatywnej. Prezeską klubu jest znana działaczka pani Cecylja Burr.

Na estatniem zebraniu powstały komisje Klubu (każda z nich nazwana została nazwą miasta polskiego lub dzielnicy Polski). Każda z komisji ma swoje oddzielne zadanie do spełnienia, a mianowicie: zbiórka odzieży do Polski, szwalnia, organizowanie propagandowych odczytów w języku angielskim, urządzanie bazarów, wystaw robót ręcznych kobiet polskich, organizowanie "campów" letnich dla dzieci dla podtrzymania języka polskiego wśród dzieci (w tym roku był już zorganizowany przez Koło Matek taki camp który dał świetne rezultaty) itd. itd.

Poszukujemy we wszystkich miastach Stanów Zjednoczonych i Kanady przedstawicieli
do zbierania ogłoszeń i prenumeraty.
Płacimy dobrą prowizję.
Zgłoszenia: **"Tygodnik Polski"**
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.

STATEMENT OF THE OWNERSHIP, MANAGEMENT, CIRCULATION, ETC., REQUIRED BY THE ACTS OF CONGRESS OF AUGUST 24, 1912, AND MARCH 3, 1933

Of Tygodnik Polski, published weekly at 806 Lexington Avenue, New York 21, for October 1, 1944, State of New York, County of Manhattan

Before me, a notary public in and for the State and county aforesaid, personally appeared Jan Lechon Serafinowicz, who being duly sworn according to law, deposes and says that he is the owner and editor of the Tygodnik Polski, and that the following is, to the best of his knowledge and belief, a true statement of the ownership, management of the aforesaid publication for the date shown in the above caption, required by the Act of August 24, 1912, as amended by the Act of March 3, 1933, embodied in section 537, Postal Laws and Regulations, printed on the reverse of this form, to wit:

1. That the names and addresses of the publisher, editor, managing editor, and business managers are:
Publisher: Tygodnik Polski, 806 Lexington Avenue, N. Y. 21
Editor: Jan Lechoń-Serafinowicz, 806 Lexington Avenue, N. Y. 21

2. That the owner is: (If owned by a corporation, its name and address must be stated and also immediately thereunder the names and addresses of stockholders owning or holding one per cent or more of total amount of stock. If not owned by a corporation, the names and addresses of the individual owners must be given. If owned by a firm, company, or other unincorporated concern, its name and address, as well as those of each individual member, must be given.) — Jan Lechon-Serafinowicz, 806 Lexington Avenue, N. Y. 21

3. That the known bondholders, mortgagees, and other security holders owning or holding 1 per cent or more of total amount of bonds, mortgages, or other securities are: (If there are none, so state) — None.

4. That the two paragraphs next above giving the names of the owners stockholders and security holders, if any, contain not only the list of stockholders and security holders as they appear upon the books of the company but also, in cases where the stockholder or security holder appears upon the books of the company as trustee or in any other fiduciary relation, the name of the person or corporation for whom such trustee is acting, is given; also that the said two paragraphs contain statements embracing affiant's full knowledge and belief as to the circumstances and conditions under which stockholders and security holders who do not appear upon the books of the company as trustees, hold stock and securities in a capacity other than that of a bona fide owner; and this affiant has no reason to believe that any other person, association, or corporation has any interest direct or indirect in the said stock, bonds, or other securities than as so stated by him.

5. That the average number of copies of each issue of this publication sold or distributed, through the mails or otherwise, to paid subscribers during the twelve months preceding the date shown above is .... (This information is required from daily publications only).

Jan Lechon-Serafinowicz, owner
Sworn to and subscribed before me this 2nd day of October 1944.
Harry Saltz,
Notary Public, New York County
My commission expires March 30, 1945.